

Uchodźcy, polityka i demografia

16 września 2015

„Od kilku tygodni ciężar pomocy dla syryjskich uchodźców zdaje się spoczywać na barkach Europy. Gdy Grecja, Włochy czy Niemcy nie radzą sobie z napływem imigrantów, Arabia Saudyjska, Katar, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Kuwejt czy Bahrajn zamykają przed nimi drzwi – zauważają Amnesty International oraz Human Rights Watch” – czytamy w polskich wiadomościach.

Rząd Arabii Saudyjskiej informuje, że od 2011 roku przyjął dwa i pół miliona uchodźców z Syrii i wyłożył 700 milionów dolarów na pomoc dla uchodźców, którzy trafili do Jordanii i Libanu. Nie wiem, jak można sprawdzić wiarogodność tych liczb, ale o pomocy saudyjskiej dla uchodźców można było się bez trudu dowiedzieć z arabskiej prasy (z europejską prasą gorzej, bo do niedawna uchodźcy z Syrii obchodzili europejskich dziennikarzy tyle, co zeszłoroczny śnieg).

Wojna w Syrii trwa już ponad cztery lata około czterech milionów Syryjczyków znalazło się poza granicami swojego kraju, dodatkowych siedem milionów jest uchodźcami we własnym kraju. Zwyczajnym łajdactwem jest twierdzenie, że kraje muzułmańskie nie przyjmują uchodźców. Oczywiście główny ciężar spoczywa na sąsiadach. W Turcji jest blisko dwa miliony uchodźców z Syrii, w małym, biednym i rozdartym konfliktami Libanie, ponad milion, w Jordanii 630 tysięcy. (Patrząc na te dane wątpliwe jest twierdzenie saudyjskich urzędników o przyjęciu ponad dwóch milionach syryjskich uchodźców w ich kraju.)

Praktycznie rzecz biorąc, ani Zachód, ani ONZ nie podjął poważnych wysiłków, żeby przyjąć na siebie chociażby część ciężaru największej katastrofy humanitarnej od lat. (A pamiętajmy, że dramat dotyczy nie tylko Syrii, ale również

Iraku, Erytreii, Libii i kilku innych krajów afrykańskich.) Obudziliśmy się, kiedy do Europy dotarło kilkadziesiąt tysięcy uciekinierów z piekła. Każdego dnia granice Syrii opuszcza około 5 tysięcy osób.

Yacoub El Hillo, przedstawiciel ONZ do spraw uchodźców w Syrii powiedział, że tylko w tym roku milion osób opuściło Syrię. A dramat gwałtownie powiększy się, kiedy nadejdzie zima. Mamy do czynienia z kryzysem uchodźców, podobnym do tego z jakim borykano się po zakończeniu drugiej wojny światowej. O zmasowanym wysiłku społeczności międzynarodowej chwilowo nic nie słychać.

Według szacunków ONZ potrzeba minimum trzech miliardów dolarów, żeby pokryć najpilniejsze potrzeby uchodźców w samej Syrii. Jest obietnica na 900 milionów. Bez radykalnej pomocy w samej Syrii, strumień uciekinierów, w tym uciekinierów do Europy, będzie lawinowo wzrastał. Pomoc dla uchodźców koczujących na terenie samej Syrii płynie głównie z Turcji i z Jordanii. UNHCR szacuje, że pod koniec roku około 10,25 mln Syryjczyków będzie wymagało pomocy dla uchodźców.

Współczujący nagle obudzili się, kiedy żerujące na ludzkiej tragedii hieny zaczęły Europie dostarczać niewielkich próbek narastającej od kilku lat katastrofy humanitarnej. Europa wydaje się być rozdarta między tanim sentymentalizmem i rasizmem. Ameryka dostrzega rasistowskie tendencje Europy Wschodniej, kanclerz Merkel, po odruchu głębokiego współczucia, uznała, że problemy zaczynają przerastać wszelkie oczekiwania i zamyka granice Niemiec, podobne decyzje podejmuje się w Austrii. Wszelkie wzmianki o poważnych problemach wywołują zarzut rasizmu, a rzeczywistego rasizmu w tych reakcjach nie brakuje, jest widoczny jak na dłoni.

Możemy się zastanawiać, dlaczego kraje Europy Wschodniej są bardziej rasistowskie niż kraje Europy Zachodniej. Komunizm na dziesięciolecia odciął nas od świata, podtrzymując naszą narodową i religijną „czystość”. Gospodarcze zacofanie, brak

demokratycznych tradycji, oświata zdominowana przez myśl narodowo-katolicką, wszystko to razem powoduje, że reakcje obrzydliwe dominują nad reakcjami ludzkimi.

Nie oznacza to jednak, że obawy nie mają żadnych racjonalnych podstaw. Przynajmniej część społeczeństwa obawia się bezmyślności własnych elit, hurra-optymizmu zastępującego przemyślaną politykę. (W decyzjach podejmowanych ad hoc trudno o głęboki namysł i strategię mającą na celu zapobieżenie nieuniknionym problemom). Bombastyczne twierdzenia, że nie ma najmniejszych powodów do obaw, powodują, że zamiast wzmocnienia ludzkich odruchów solidarności, wzmacnia się opór. Wspomniana tu Arabia Saudyjska już podobno obiecuje, że pomoże nam sfinansować budowę meczetów.

Dziś, czy to w Polsce, czy na Węgrzech, czy w Niemczech, wszystkie reakcje podyktowane są niespodziewanym kontaktem z kryzysem humanitarnym trwającym od wielu lat. Wcześniejsze doświadczenia krajów zachodnich z integracją imigrantów z muzułmańskiego świata są fatalne i w znacznej mierze spowodowane przez zamykanie oczu na realne problemy. Polityka ta wyrządziła gigantyczną krzywdę tym imigrantom, którzy najbardziej potrzebują pomocy i którzy gotowi są zaakceptować ład społeczny demokratycznych społeczeństw. Ta polityka spowodowała również zmiany postaw społecznych i nasilenie się rasizmu.

Nie wolno jednak wszystkich obaw zwać na rasizm. Dopiero co spotkałem pod sklepem radnego z mojego miasteczka, który chciał pogadać o problemie imigrantów. Zaczął od przeczytanej opowieści o ułożeniu rodziny imigrantów w przygotowanym i kompletnie wyposażonym mieszkaniu, żeby rano odkryć, że pojechali dalej, szukać czegoś lepszego. Czy opowieść jest prawdziwa? Prawdopodobnie. Czy reakcja rozgoryczenia i wściekłości zrozumiała? Oczywiście. A sami imigranci mogli mieć gdzieś rodzinę, czy znajomych, do których chcieli dotrzeć, ale o czym nie mogli otwarcie opowiadać urzędnikom imigracyjnym.

Złożoność tego wszystkiego często wykracza poza naszą wyobraźnię. Jednak główne obawy związane są z lękami przed religijnym fanatyzmem i terroryzmem. Obecny kryzys humanitarny spowodowany jest głównie wojnami religijnymi, wzrostem fanatyzmu religijnego, którego ofiarami są przede wszystkim muzułmanie. Te ofiary to setki tysięcy zabitych, miliony uchodźców. Do Europy docierają ci, którzy mają dostatecznie dużo sił i środków finansowych. Opowieści, że w tej fali są ludzie przenoszący do nas fanatyzm i terroryzm, nie są pozbawione podstaw i twierdzenia, że żadne takie problemy nie istnieją, wyłącznie podsycają niehumanitarne reakcje i niebawem utrudniają przekonanie ludzi, że powinniśmy udzielić jak najdalej idącej pomocy.

Musimy mówić głośno, że obecny kryzys humanitarny spowodowany jest głównie religijnym ekstremizmem i że nie jest to sprawa, którą uda się zażegnać jakąś doraźną pomocą dla tych, którym udało się dotrzeć do brzegów Europy. Stoimy przed problemem, który może zdominować najbliższe dziesięciolecie. Twierdzenia, że kryzys wyzwoliły zachodnie interwencje, które naruszyły kruchą równowagę między tyranami, nie jest nawet półprawdą. Religijne konflikty w muzułmańskim świecie narastały od dziesięcioleci, aczkolwiek całkowicie nieudolne zachodnie interwencje nie tylko przyczyniły się do wzmożenia chaosu, ale dostarczyły najbardziej brutalnym siłom w tym regionie nowoczesnej broni, zarówno tej, którą przekazano wcześniej rozpadającym się armiom narodowym, jak i tej, którą te armie otrzymały wcześniej za petrodolary.

Prawie dwie trzecie uchodźców docierających obecnie do Europy pochodzi z trzech stosunkowo niewielkich krajów: Syrii, Erytrei i Afganistanu. We wszystkich tych krajach kryzys humanitarny został spowodowany przez wojny religijne. Do Europy jak dotąd dotarło w tym roku drogą morską około 300 tysięcy osób, co oczywiście spowodowało panikę. Czy ta panika będzie trzeźwiąca? Czy pojawią się inne reakcje niż tylko obawa, że mogą nas zalać? Napór biednych na kraje bogate nie

jest nowym zjawiskiem. Jak zwraca uwagę Matt Ridley w artykule analizującym źródła obecnego kryzysu, sąsiadująca z Erytreą Etiopia, ma nie 5 a 90 milionów mieszkańców, ale jej autorytarny rząd wprowadza elementarne reformy i daje względną stabilizację. Tak więc, nie są to problemy spowodowane samym wzrostem demograficznym. Mamy do czynienia z kryzysem politycznym, którego boimy się nazwać. Na Bliskim Wschodzie współczesny zbrojny konflikt między dwoma wyznaniem muzułmańskimi zaczął się od wojny iracko-irańskiej, która trwała od 1980 do 1988 roku i pochłonęła ponad milion ofiar. Eksport islamskiej rewolucji przez szyicki Iran prowadził do wzrostu religijnego radykalizmu w krajach sunnickich (a nie był to jedyny czynnik), a przede wszystkim do eksportu konkurującego religijnego fanatyzmu przez Arabię Saudyjską. Spory o Boga i pragnienie stworzenia królestwa bożego na ziemi prowadziły do piekła w Libanie, Iraku, Afganistanie, a teraz w Syrii. Interweniujące kraje zachodnie jak ognia obawiały się przyznania, że widzą religijny fanatyzm, wobec którego lokalne armie narodowe są całkowicie bezradne w związku z tym, że lojalności kadry oficerskiej i żołnierzy są sekciarskie, a nie narodowe.

Matt Ridley zwraca uwagę, że istnieje tu ważny czynnik demograficzny – religijni fanatycy mają znacznie więcej dzieci. Podczas gdy reformy ekonomiczne i stabilizacja polityczna w szybkim tempie prowadzą do spadku dzietności kobiet, wzrost religijnego fanatyzmu ma efekt odwrotny. Ridley cytuje książkę Erica Kaufmanna z 2010 roku, pod znamienym tytułem „Czy religijni odziedziczą Ziemię?” Fundamentalisci w islamie, katolicyzmie, protestantyzmie i judaizmie mnożą się chętniej. W Izraelu ortodoksyjne rodziny mają średnio 7,5 dziecka, rodziny świeckie 2,2. W krajach muzułmańskich zwolennicy szariatu mają dwa razy więcej dzieci niż zwolennicy świeckiego prawa. (Tomasz Terlikowski ma tylko pięcioro dzieci, ale to wynik heroicznego oporu jego żony.) Wzrost fanatyzmu religijnego jest efektem zarówno indoktrynacji, terroru, ale również, w dużej mierze, preferowanego we

wszystkich religiach modelu wielodzietnej rodziny.

Fanatyzm religijny oznacza całkowity rozbrat z logiką, programowe ignorowanie świeckiego prawa i stałe domaganie się, aby prawo państwowe wspierało "prawa boskie", oczywiście mojego, czyli jedynie słusznego, wyznania. Nic dziwnego, że nieuchronnie prowadzi to do przemocy, włącznie z masowymi mordami. Uciekinierzy z koszmarnego świata nie tylko szukają u nas schronienia przed atakującym ich zewsząd religijnym fanatyzmem; wielu, jeśli nie większość, jest nim również skażona i ma kłopoty ze zrozumieniem samej idei państwa gwarantującego międzywyznaniową tolerancję.

Piszę ten tekst w kilka dni po osławionej debacie parlamentarnej na temat obywatelskiego projektu całkowitego zakazu aborcji. Prezentująca ten projekt pani Kaja Godek, mówiła o ludziach zajmujących się zawodowo zabijaniem, twierdziła, że nasze ustawodawstwo sprowadza nas poniżej poziomu hitlerowskich Niemiec, mówiła o „aborcji eugenicznej”. W tym wystąpieniu nie było cienia poszanowania semantyki, cienia respektu dla prawa, gorąca chęć narzucenia swojego „bożego prawa” innym. Pani Godek, którą widzieliśmy na imprezie ONR, jest tu zdecydowanie mniej interesująca niż nasz parlament, nie tylko akceptujący taką parlamentarną dyskusję, ale udzielający jej bardzo szerokiego poparcia.

Pojawia się pytanie, dlaczego utraciliśmy zdolność powiedzenia tym, którzy szukają u nas pomocy, że przybywają do świata, w którym gwarantuje się swobodę wyznania pod warunkiem poszanowania obowiązującego wszystkich prawa? Dlaczego obawiamy się, że przybysze zaczną od nas oczekiwać podporządkowania naszego prawa ich przekonaniom religijnym? Nie są to obawy pozbawione podstaw, ponieważ w naszych własnych sporach utraciliśmy zdolność poszanowania prawa opartego na logice i jednoznacznie rozumianych pojęciach.

Ci, którzy najmocniej protestują przeciwko jakiegokolwiek pomocy dla uchodźców, to stosunkowo najczęściej ludzie skażeni

własnym religijnym fanatyzmem, walczący przeciw rzeczywistej tolerancji wyznaniowej i głoszący wyższość „prawa bożego” nad prawem stanowionym. (Kościół wzywający do udzielania pomocy i apelujący do parafii, aby włączyły się w akcję pomagania uchodźcom, ma równocześnie problem z wyraźnym odcięciem się od grup głoszących nienawiść pod religijnymi symbolami.) Problem w tym, że skuteczna pomoc wymaga pewnego minimum akceptacji społecznej, a ta jest zależna od uczciwej prezentacji problemów. Żyjemy w czasach walki na symbole i ustawicznych prób wpływania na umysły przy pomocy obrazków, sentymentalnych haseł i przekłamujących rzeczywistość stereotypów. O zasadach polityki imigracyjnej, gromadzeniu środków na pomoc, zasadach udzielania tej pomocy, jak i wymaganiach wobec imigrantów nic nie słyhać. Przestańmy się łudzić, że bez wymagań jesteśmy w stanie pomóc.

Nie mamy wpływu na decyzje ONZ, Banku Światowego i innych organizacji, które muszą wkroczyć, żeby, jeśli nie opanować obecny kryzys humanitarny (na co długo nie będzie szansy), to przynajmniej zatrzymać jego lawinowy wzrost. Tu, w Polsce stoimy w obliczu faktów, na które nie mamy wpływu, Uciekinierów ze strefy wojny będzie coraz więcej i czas na poważną rozmowę, nie o tym, czy możemy im pomóc, ale jak. To jednak wymaga zakończenia udawania, że jesteśmy u cioci na imieninach. Naszemu „nie” dla rodzimego fanatyzmu musi towarzyszyć „nie” dla importu czegoś jeszcze gorszego.

Przestańmy się karmić bzdurnymi opowieściami, że ciężar pomocy syryjskim, czy jakimkolwiek, uchodźcom spoczywa na Europie i przestańmy opowiadać bajki dla grzecznych dzieci, że jak będziemy mili, to zrobimy dobry uczynek. Kiedy ratujemy człowieka tonącego w morzu, dobrze jest uważać, żeby tonący nie wciągnął nas pod wodę.

Autorstwo: Andrzej Koraszewski

Źródło: ListyZNaszegoSadu.pl